

## **ŻYĆ MODLITWĄ NA CO DZIEŃ**

Chciałbym ukazać, że trudności, na jakie napotyka człowiek, który pragnie się modlić, są ostatecznie identyczne z tymi, jakie niesie ze sobą samo chrześcijaństwo i na jakie tym samym nieuchronnie natrafiamy, starając się żyć po chrześcijańsku w świecie. Równocześnie jednak chciałbym wykazać, że „duchowość” nie stanowi jedynie jakiegoś aspektu, czy też jednego z wielu składników bycia chrześcijaninem. Można ją tak traktować wyjątkowo, celem lepszego wyjaśnienia problemu; ale uważać życie duchowe za część życia chrześcijańskiego — to mniej więcej to samo, co mówić, że świadomość jest jednym z czynników, które sprawiają, że się żyje. Duchowość jest istotna dla chrześcijaństwa. Nie obejmuje ona jedynie jakichś konkretnych dążeń do modlitwy, ale także całą świadomość chrześcijanina w odniesieniu do siebie samego, i to w każdej chwili jego życia, albowiem celem naszym jest ostatecznie zrozumienie tego, co Paweł przekazywał swym czytelnikom, gdy zalecał im „modlić się nieustannie”. Chciałbym także podkreślić, że nie powinno się zaczynać rozważań od pytania: „Do czego będzie mi służyło życie duchowe?” Na koniec pragnąłbym zasugerować coś, co wprawia mnie w niemały kłopot; chodzi mianowicie o to, że post i modlitwa idą w parze, przyczyniając się razem do uproszczenia życia, a nawet do osiągnięcia zamierzonego ubóstwa. Do tego jednak jeszcze wrócimy.

Cel życia wewnętrznego nie ulega zmianie ze względu na jednostki. Jest to odpowiedź, jaką każdy z nas winien dać na pytanie: „Kto może żyć, ujrawszy Pana twarzą w twarz?” Zapewne nie ja, przynajmniej taki, jakim jestem obecnie. A zapewne także nikt z was. Życie wewnętrzne — to nasza współpraca w procesie zapoczątkowanym przez Boga w momencie, kiedy powołał On nas do bycia chrześcijanami — w procesie, mocą którego stajemy się (zgodnie z wyrażeniem Ojców Kościoła) „bogami z przybrania”

Powszechnie się uważa, że o wiele trudniej jest być chrześcijaninem dzisiaj niż przed wiekami, kiedy to chrześcijaństwo korzystało ze wsparcia najróżnorodniejszych instytucji społecznych, politycznych i kulturalnych. Teorię tę zdaje się ponadto umacniać fakt, że całe rzesze ludzi odcinają się od swych korzeni religijnych i przyswajają sobie wartości świeckie, czyniąc to, przynajmniej na pozór, bezboleśnie. I o ile jest prawdą, że klimat ten

stwarza specyficzne problemy, które przypominają zresztą w jakiejś mierze trudności, z jakimi borykali się pierwsi chrześcijanie, to trzeba mimo wszystko stwierdzić, że chrześcijaństwo nie jest obecnie trudniejsze do realizowania niż dawniej i zawsze. Jeżeli coś się ulotniło, to chyba, co najwyżej, ta myśl pokrzepiająca, że bycie chrześcijaninem da się sprowadzić do dobrych obyczajów i do obywatelskiego poczucia konieczności uczęszczania do kościoła. Obecnie staje się natomiast czymś oczywistym, że chrześcijaństwo jest powołaniem, zadaniem połączonym z trudnościami, z których przynajmniej niektóre są typowe dla każdej epoki i kultury.

Zanim pójdziemy nieco dalej, powinienem sformułować jasno hipotezy wyjściowe, albowiem od nich zależy cały dalszy wywód. Przede wszystkim jestem przekonany, że w dziedzinie duchowości nie nastąpi żaden zasadniczy wyłom. W przeciwieństwie do innych dziedzin, takich jak np. egzegeza naukowa, nie ma tu bowiem nic do odkrywania. Jedynym miejscem kumulowania się i wzrostu duchowości jest dusza człowieka modlącego się. Mamy świadectwa osób (kobiet i mężczyzn), które posunęły się tak daleko, jak to było możliwe. Możemy oczywiście zgłębiać także inne tradycje; pojawiają się też niewątpliwie nowi mistrzowie duchowi. Nikt jednak nie zdoła przewyższyć „Filokalii” czy „Chmury niewiedzy”<sup>1</sup>.

Inną hipotezą, na której się opieram, jest twierdzenie, iż prawosławie daje nam najlepsze zbliżenie się do modlitwy, ucząc, iż modlitwa wymaga czasu, samotności, regularności, dyscypliny. Oznacza to, że nieskończenie pożądaną rzeczą byłoby wyznaczanie sobie codziennie jakiejś odrobiny czasu na samotność, spokój, oddalenie się od spraw i na zajęcie się jedynie modlitwą, a przynajmniej na zdobywanie się na nią.

1 „Filokalie” — to rodzaj antologii modlitwy prawosławnej, poczynając od pierwszych mnichów egipskich z IV wieku aż po mnichów z góry Athos w XV w., nie wyłączając Synaju. Pierwsze wydanie tego podręcznika modlitw ukazało się w j. greckim, w Wenecji, w 1782 r. Przekłady rosyjskie cieszyły się wielkim powodzeniem i wywierały znaczny wpływ jeszcze w XIX w. Małą antologię tekstów zaczerpniętych z „Filokalii” wydał we Francji w 1953 r. J. Gouillard (w kolekcji „Livre de Vie, nr 83—84). „Chmura niewiedzy” (*Cloud of Unknowing*) — to anonimowy traktat z drugiej połowy XIV w., powstały w Anglii, o inspiracji Pseudo-dionizjańskiej, zapowiadający w jakiejś mierze św. Jana od Krzyża. Por. *Histoire de la spiritualité chrétienne* (wyd. L. Bouyer), t. 2: *Spiritualité du Moyen Age*, II, 7, s. 503 nn. (Przyp. redakcji francuskiej). Dzieło to podaje praktyczną drogę kontemplacji, nie opisując jej jako takiej. Wyd. francuskie: *Le nuage d'inconnaissance* (wyd. A. Guerne), Paris 1953 (Cahiers du Sud.) Por. G. Thils, *Sainteté chrétienne*, Tielt—Paris 1963, s. 678. — Przyp. tłumacza.

Wszelki sposób życia, w którym nie zostawia się czasu należytego na modlitwę i samotność, należy uważać za poważną przeszkodę w życiu chrześcijańskim. Przeważnie mamy o wiele więcej czasu, aniżeli nam się wydaje. Jeżeli jednak coś specyfikuje naszą epokę, to jest to chęć rozrywek i strach przed samotnością, milczeniem. (W innych epokach rytmika pracy, długość czasu podróży, odbywanych pieszo lub konno, zmuszały ludzi do przeznaczania czasu wyłącznie dla siebie). Stajemy się nerwowi na samą myśl, że będziemy musieli spotkać się twarzą w twarz z własną pustką wewnętrzną, a wizja tego, że mamy się przez jakiś czas niczym nie zajmować, wprowadza nas po prostu w panikę. A przecież to dążenie do rozrywek jest dla nas zabójcze. Chyba że odkryjemy w końcu fatalne pomieszanie zaciemniające naszą świadomość i sumienie, nie mówiąc już o lunecie, poprzez którą spoglądamy na świat: nie wiemy już, kim jesteśmy, ani też nie uświadamiamy sobie pustki, jaka z nas zionie. Takie zaś doświadczenie staje się, wcześniej czy później, udziałem tego, kto medytuje i się modli. Ukazuje mu się wtedy prawda, że pragnienie rozrywek jest jednym z tych czynników, które — według straszliwego wyrażenia autora prawosławnego — ciągną nas na prawo i lewo „jak jakieś związane trupy”.

Wiem, że niektórzy autorzy dzieł ascetycznych zachowują milczenie wobec modlitwy o ustalonych godzinach. Obawiają się oni tego, by ścisłe przestrzeganie czasu nie stało się celem samym w sobie, a rutyna nie przeobraziła w bożka. Podobne zastrzeżenia wysuwa się pod adresem „technik” modlitwy powtarzanej (jaką jest np. modlitwa Jezusa u chrześcijan prawosławnych i różaniec u katolików), a także przeciwko metodycznym rozmyśleniom. Argumentuje się przy tym koniecznością większej spontaniczności na modlitwie i mniejszym przywiązaniem do określonych formuł. Człowiek sam miałby znaleźć odpowiednie słowa modlitewne, a nie powtarzać słów cudzych.

Oba te zarzuty mają swoje podstawy. Modlitwa o ustalonych godzinach może przerodzić się w rutynę, a metoda, która ma nam pomóc w modleniu się z głębi serca, może być łatwo pomieszana z modlitwą jako taką. Niewątpliwie, jest też rzeczą dobrą modlić się własnymi słowami. Niemniej jednak argumenty przemawiające za modlitwą w ustalonych godzinach wydają mi się jeszcze bardziej istotne. Przede wszystkim chodzi o to, że nieregularna i nieokreślona modlitwa narażona jest na wyrażenie przeżywanych aktualnie odczuć. Jeśli nie ma się zwyczaju modlenia, nie modli się wówczas wcale — chyba że podejmie się decyzję, iż każdego popołudnia (na przykład) przeznaczy się chwilę czasu na

refleksję i modlitwę, niezależnie od zmiennego nastawienia ducha. Racją zaś przemawiającą za taką postawą jest to, iż modlitwa nie może być czymś dowolnym dla chrześcijan. Jest ona sprawą zasadniczą. Dyscyplina modlitwy regularnej oraz odmawianie określonych modlitw ucza nas czegoś istotnego: że codzienne nasze zajęcia są pokawałkowane i rozbiegane, i że nasza świadomość jest tak często niepozbita w sobie i rozkawałkowana — wykorzeniona z własnego ja. Podejmowanie trudnego i uciążliwego wysiłku modlitewnego może się okazać czymś nużącym. A przecież od tego trzeba zacząć. W przeciwnym bowiem razie nie byłoby już modlitwy, ale coś w rodzaju samowyróżnienia się, w którym pojęcie „Bóg” dochodziłoby często do głosu.

Wszystko to może się wydawać trudne do przyjęcia. Istnieje jednak pewien rodzaj pobożności, który sam w sobie stwarza niebezpieczeństwo dla prawdziwej duchowości. Chodzi o modlitwę o celach, by tak powiedzieć, leczniczych, wynikającą z przeświadczenia, że należy się modlić, bo to pomaga, pozwala czuć się lepiej, przywraca zaufanie do siebie itd. Jestem głęboko przekonany, że używanie pojęcia Bóg w tym kontekście trąci bałwochwalstwem.

Nie wiemy, kim jesteśmy. W Chrystusie zostało nam ukazane to, czym możemy być. Nie wiemy dobrze, co mamy czynić, czego pragnąć; nie rozumiemy, co jest prawdziwie chrześcijańskie. Na modlitwie wystarczy, że staniemy wobec Boga tacy, jakimi jesteśmy, puści wewnątrznie i powikłani, tkwiący nieświadomie na pograniczu najgorszego zła, a zarazem tak bliscy wielkiej świętości. Mamy się modlić tacy, jakimi jesteśmy, a nie jakimi chcielibyśmy być. Nie modlimy się po to, by odeprzeć dobre (lub złe) mniemanie o sobie. Nie powinniśmy mieć w duchu żadnego wyobrażenia siebie, a przynajmniej winniśmy się zgodzić, że każde takie wyobrażenie trąci bałwochwalstwem.

Nie znamy także Boga. Wiemy coś niecoś o Bogu dzięki Pismu Św., świadectwu tych, którzy Go lepiej poznali, a niekiedy także dzięki własnym przeżyciom z przeszłości. Jednak nasza znajomość Boga nie daje nam pełnej wiedzy o Nim: Ten, przed którym stajemy, jest niepoznawalny. Na modlitwie przynosimy naszą ciemność, własne potrzeby, swoją pustkę, i odkrywamy się jeszcze głębiej wobec milczenia, jakie nam towarzyszy, z nadzieją, że Bóg nas przeobrazi w to, czym pragnie, byśmy byli. Wszelkie usiłowania zmierzające do pouczenia Boga o tym, że On istnieje, i do narzucenia Mu swoich próśb, względnie do uprzedniego przesądzenia skutków własnej modlitwy — są jedynie przeszkodą na drodze.

Wymyka nam się osobowość Jezusa. Wiemy o Nim jednak

z całą pewnością tyle, że sam doświadczał potrzeby modlitwy i że się oddawał od rzesz na modlitwę. Mówi się niekiedy, że działać słusznie i sprawiedliwie to nic innego, jak się modlić. Jest to prawdziwe tylko po części. Działanie może być nabrzmiałe modlitwą, a przecież jego charakter modlitewny zależy od samej modlitwy — w odosobnieniu. Jeżeli nie poświęcamy określonego czasu na modlitwę jako taką, narażamy się na niebezpieczeństwo przeobrażenia Boga w ideę, a Jego obecności w odczucie przez nas poszukiwane.

Jezus doświadczał także potrzeby postu. Byłoby rzeczą niebezpieczną sądzić, że czynił to tylko ze względu na nas, chcąc dać nam przykład. Jezus nie był kimś odgrywającym jedynie rolę człowieka; On był w pełni tym, czym jest każdy byt ludzki, i czynił to, co winny czynić istoty ludzkie, o ile mają być dziećmi Boga.

Wymaga to wyjaśnienia. Post nie ma nic wspólnego z jakąś umową człowieka z Bogiem („Będę pościł, o ile oddasz mi tę przysługę”), nie jest też zdesperowanym dążeniem do zwrócenia na siebie uwagi Boga („Patrz, jaki jestem szczery”). Post jest określonym sposobem bycia ze sobą samym na płaszczyźnie, której w innym przypadku nie byłibyśmy w stanie nigdy osiągnąć. Chcąc bronić postu, nie można się opierać wyłącznie na rozumie lub na psychologii. Ma on swoje podstawy w tradycji i to tak głębokie, iż nie trzeba ich bronić: sam Jezus pościł i zalecał post, podobnie Paweł, Ojcowie Kościoła, a posty Kościoła Wschodniego są bardzo surowe. Ale tradycja jako taka nie cieszy się dobrą opinią, której nie zmieni zbyt łatwo jeden czy drugi argument... Argumenty te jednak pozwolą nam, być może, dostrzec mądrość wieków, której nie można nie darzyć prawdziwą sympatią.

Pozwala to powiedzieć, że chrześcijaństwo zawiera w sobie jakąś dyspozycję do słuchania Boga, pełnienia Jego woli oraz ogołacania siebie. Takie jednak stwierdzenie wypowiedziane z naszego punktu widzenia w momencie, gdy wybór, przed którym się znajdujemy, jest czysto teoretyczny, wprowadza nas w złudzenie — jakobyśmy nie byli w tym momencie powołani do uświadomienia sobie woli Bożej i do oddania się na służbę Bogu. Złudzenie to umacnia jeszcze fakt posiadania przez wielu spośród nas pewnego komfortu w tym znaczeniu, że możemy jeść i pić to, co się nam podoba, dysponować swoim czasem (poza tym, do którego zobowiązuje wykonywany zawód), poświęcać go sobie lub rodzinie; a kiedy wychodzimy niejako z siebie, by dostosować się do otoczenia — do współmałżonka lub dzieci, uważamy się za szczególnie cnotliwych.

Pościć — to iść pod prąd. Powstrzymywanie się od mięsa, pro-

duktów mlecznych, alkoholu lub ryby (wymeniam te artykuły spożywcze, albowiem należą one do tradycyjnej listy potraw) może nas znerwicować. To z kolei pozwala nam uświadomić sobie, jak dalece żądzą nami i określają nasze życie własne pragnienia i zachcianki. Powstrzymanie się od jedzenia lub picia na pewien okres czasu i skontrolowanie — w formie wniosku — na ile potrafiemy siebie opanować, doprowadzi nas do odkrycia tego aspektu siebie samych, który tylko dzięki postowi może być poznawalny. Wreszcie post pozwala nam wyzbyć się złudzeń co do własnej szlachetności. Kieruje naszą uwagę ku modlitwie (być może dlatego, że nie ma innego powodu, by się dostosować do tej przykrości, jaka z nim się wiąże — co przypomina starą historyjkę o człowieku bijącym swego muła nie ze złości, ale jedynie dla zwrócenia jego uwagi na siebie). Głód zaś wytwarza jasność myśli, której brakuje po dobrym posiłku. Inna sprawa: niejeden z naszych postów mógłby się wydawać wielu ludziom ledwie trzymającym się na nogach prawdziwą ucztą!

Post jest sprawą uwagi, koncentracji, jasności: jest sposobem „wielbienia Boga w naszym ciele” — zgodnie z zaleceniem św. Pawła. A przynajmniej przypomina nam o tym, że nie możemy traktować naszego obżarstwa codziennego za rzecz normalną.

Post pociąga za sobą także konsekwencje społeczne. Jeżeli potrafi nam ukazać to, czego sami nie potrzebujemy bezwzględnie do życia, potrafi też ukazać, z czego możemy śmiało zrezygnować. Przekonanie Kościoła pierwotnego na temat własności było jednomyślne: jeżeli macie czegoś więcej niż potrzebujecie, winniście to przekazać osobie potrzebującej. Istnieje rodzaj zachowawczego chrześcijaństwa sprowadzającego ten typ idei do „ewangelii społecznej” i głoszącego, że postawa taka odwraca od chrześcijaństwa bardziej duchowego. Ewangelia społeczna nie wymaga większej obrony od rozdziału 25 Mateusza, w którym Jezus stwierdza, iż to, czego nie czynimy ostatniemu z ludzi, odnosi się wprost do Boga: Jemu tego nie czynimy. Skoro sam nie stosuję tych słów wyrażnie do siebie, cieszyłbym się z pewnością jakąś łagodniejszą ich interpretacją; nie wydaje mi się jednak, by była ona możliwa. Słowa Jezusa nie pozostawiają cienia niejasności. Powinienem więc się wstydić z tego powodu, że nie wzięłem ich jeszcze szczerze do serca w takiej skali, na jaką zasługują; byłoby natomiast rzeczą straszną, gdybym sobie wmawiał, że chodzi w nich o coś zgoła innego, na przykład: „Macie prawo żyć tak jak żyjecie — na właściwym sobie poziomie, pod warunkiem, że nie będziecie się zbyt-  
nio do tego przywiązywać”. Tajemnicze słowa o grzechu przeciwnym Duchowi Świętemu, który „nie zostanie odpuszczony”, mo-

głyby się odnosić także do pokusy uważania Jezusa za obrońcę własnego stylu życia. W świecie, w którym ludzie głodują, wydaje się czymś bardzo niestosownym walczyć o to, co zbywa, a szczególnie szpetne jest nadużywanie Ewangelii w tym celu. Nie wypowiedziałam się na temat tego, co powinny by czynić rządy w walce z nędzą — chociaż problem jest ważny. Niezależnie zaś od postawy rządów, sprawą niezwykle ważną dla chrześcijan jest prowadzenie takiego życia, które byłoby wyrazem troski Boga o ludzkość. W zgłodniałym świecie uczynić to mogą ludzie, którzy mają więcej niż im potrzeba.

A takimi są prawie wszyscy spośród nas. Osobiste zaangażowanie się jest więc czymś istotnym dla każdego chrześcijanina, jak i dla Kościoła. Rozmiary problemu rodzą nierzadko pokusę usunięcia się od odpowiedzialności. Pojawiają się jednak głosy prorocze — obok profetycznego milczenia. Wspólnota z Taizé sugerowała chrześcijanom, aby stopniowo, ale zdecydowanie wybierali sobie styl życia surowszy od innych młodych ludzi, żeby ich skłonić swym przykładem do wyzbywania się tego, co im zbywa, i do dzielenia się z innymi pozostałą resztą. Mali bracia Jezusa dzielą od lat życie ubogich, zamieszkując najuboższe dzielnice wielkich miast świata i spędzając codziennie jakiś czas na modlitwie. Ich szczególnym powołaniem jest milczenie. Nie uprawiają prozelityzmu; i chociaż uważano ich nieraz za niebezpiecznych dla władzy przyzwyczajonej do chrześcijaństwa bardziej polukrowanego, ich postawa nie ma wcale politycznego charakteru.

W jaki sposób mogłyby dojść do tego stylu życia całe rodziny? Wiem, że łatwo dałoby się wyłączyć rodziny z tego rodzaju problematyki twierdząc, iż nie jest to ich „powołanie”. Łatwiej też byłoby przyjąć ten argument, aniżeli go zbyć — a przecież w sumieniu czuję się do tego niezdolny. Jeżeli bowiem rodzina staje się wymówką do dania odpowiedzi na ewangeliczne wezwanie, to sama przeobraża się w jedno więcej bóstwo. Ale jest też rzeczą jasną, że nieprzemyślana odpowiedź na wezwanie Ewangelii nie może być prawdziwą odpowiedzią. Nie można oczywiście wrywać rodziny ze właściwego jej sposobu życia i przenosić w jakiś inny — na fali entuzjazmu jednego czy dwóch jej członków. Sposób podjęcia przez rodzinę wędrówki, która ją doprowadzi od stylu życia, zalecanego przez nasze społeczeństwo, do stylu wskazanego przez Ewangelię, zależy od wieku dzieci, zgody współmałżonka itd. Sam jednak fakt, złożoności świata nie zwalnia nas od wysiłków. W wędrówce tej może przyjść rodzinie z pomocą jakaś istniejąca już wspólnota. Niewielka grupa rodzin może także starać się o wspólnotę dóbr i dzielenie życia modlitwy. Istnieją

klasztory i zakony, znane też jest świadectwo niektórych ruchów starających się traktować Ewangelię na serio.

Może nie ma w nich wielkiej precyzji. Wynika to bowiem z czasów, w jakich żyjemy. Życie monastyczne było najpierw ruchem świeckim (a dążności do włączenia go w struktury kościelne powodowały, że mnisi starali się unikać biskupów i niewiast, gdyż ani jedni ani drugie nie dali im spokoju). Nie jest rzeczą wykluczoną, że również nasze czasy są świadkiem narodzin czegoś podobnego na płaszczyźnie rodzinnej: chodzi o radykalne świadectwo rodzin, takie, jakie dawali dawniej mnisi.

By zakończyć: dostrzegam, że to, co powiedziałem, zakłada istnienie jakiegoś rozbicia w naszym świecie i że nie da się z niego wykrzesać czegoś wielkiego. Tak właśnie myślę; trudno mi więc zrozumieć ludzi, którzy, patrząc na naszą epokę, mogą jeszcze pokładać nadzieję w czymś innym poza radykalnym zakwestionowaniem zasad, jakie doprowadziły do obozów śmierci, do Hiroszimy, Wietnamu, Kambodży..., a także do tolerowania tortur czy sztucznych poronień. Społeczeństwo nasze bazuje na żądzy, marnotrawstwie i wywoływaniu sztucznych potrzeb. Alternatywą zaś jest pranie mózgow i totalitaryzm. Jeden z mych przyjaciół zauważył, iż podstawowy problem moralny kryje się w pytaniu: „Jak wychowam swoje dzieci?” Jak nigdy dotąd, odpowiedź brzmi: „Z drzeniem i bojaźnią”.

Życie zawierało w sobie, co jest oczywiste, zawsze drzenie i obawę, a nasze czasy nie czynią tu wyjątku. Zawsze pytanie: „Czy Syn Człowieczy znajdzie wiarę na ziemi, gdy powróci?” winno otrzymywać odpowiedź bardzo osobistą: znajdzie mnie, szukającego prawdopodobnie różnych wymówek i wykrętów.

tłum. ks. Lucjan Balter SAC